

List do ukraińskiego przyjaciela

Wrocław, lipiec 2007

*Drogi Sergiju*

*Wybacz mój przyjacielu, ale muszę napisać tę książkę, chociaż wielu było temu przeciwnych. Piszę ją także dla samego siebie, aby nie umknęły mi zasłyszane w ciągu wielu lat wspomnienia.*

*Ta książka opowiada bowiem wiele przemilczanych wydarzeń, których nikt nie chce opowiedzieć ani Tobie, ani Twoim i moim bliskim. Patrząc na to, co robią i mówią politycy, jeszcze przez dziesiątki lat ta niewygodna prawda będzie ukrywana.*

*Wiem, jak trudno pogodzić się z opowiadanymi w niej wieloma, zwłaszcza okrutnymi, ale prawdziwymi historiami. Tak trudno, że wielu będzie próbowało im zaprzeczać. Tak jednak zapamiętali te historie ci, którzy mi je opowiedzieli. A byli to ludzie dobrze mi znani, bogobojni, skromni, prawdomówni i nie mający żadnych powodów, aby opowiadać nieprawdę. Taka była straszna prawda o ostatnim, krwawym okresie w historii Polaków i Ukraińców.*

*Tylko prawda nie pozwoli powtórzyć tego złego, co wspólnie przeżyli nasi przodkowie na przestrzeni kilku setek lat.*

*Pragnę na końcu tego listu zadać pytanie: Czy dla tych, którzy zhańbili ideę walki o Samostijną Ukrainę zbrodniami ludobójstwa, powinno się stawiać pomniki chwały, jak dla bohaterów?*

*Alf Soczyński*

## **Kula do trumny**

Banderowcy czuli się coraz pewniej, coraz częściej paradowali w kilku po wsi z ledwo ukrytą za pazuchami bronią, szukali zaczepki i okazji do rozlewu krwi oraz do łatwego zysku, a właściwie grabieży. Niemal na oczach ludzi przywłaszczali sobie różne przedmioty, które sobie upodobałi, czasem ironizując z okradzionych i strasząc. Robili się coraz bardziej natrętni, pewni siebie, zادیorni i nachalnie prowokacyjni. Zaczepiali co ładniejsze kobiety, nawet mężatki, obmacywali je, chwyłali za ręce i włosy, próbowali przewracać, zrywać z nich odzież, czyniąc im nieprzyzwoite propozycje.

Na podwórze dziadka Władka, wtedy pięćdziesięciolatka, weszli pewnego dnia dwaj uzbrojeni banderowcy. Gdy ich zauważył przez okno, wybiegł na ganek aby zapytać, czego chcą od niego. Nie chciał ich wpuścić do chaty, bojąc się bliskiego kontaktu z nimi jak zarazy. Zdenerwowany perspektywą spotkania z nimi w czterech ścianach domu, chciał ich pogonić od progu.

- Czego tu szukacie, tutaj wy nic nie zgubili – zawołał.

- Zaraz zobaczymy, a może jest tu coś naszego. Na ich twarzach malował się obraz bezkarnej arogancji i poczucia własnej wyższości, wynikającej z przekonania o swojej przewadze.

- Ja do was niczego nie mam i nic od was nie chcę.

- Ależ dziadku, wam się coś pomieszało, że nie szanujecie sąsiadów z Majdanu.

- To mój dom i proszę natychmiast wyjść z podwórza.

- Nikt nas nie będzie wyganiał! Wyjdziemy, jak sami zechcemy.

Młodzi opryszkowie zaśmiali się, pokazując w krzywych uśmieszkach błyskające złowrogo zęby i podchodzili coraz bliżej. Dziadek całym swoim ciałem zagroził im wejście na ganek.

- Poczuj dziadku, z czym do ciebie przychodzimy – starszy przez połą kurtki szturchnął go pod zebra lufą pistoletu. Młodszy go po chwili popchnął.

W czasie szarpaniny dziadek się przewrócił. Gdy leżał, młodszy z banderowców, na oko szesnastolatek, podszedł do niego, wycelował mu w twarz pistolet i mówi:

- Módlcie się dziadku, bo to wasz koniec – celował mu w usta. Gdy oddawał strzał, dziadek odruchowo ruszył głową. Po strzale jego twarz, głowa, szyja i piersi zalały się krwią.

Gdy banderowiec chciał drugi raz strzelić, celując tym razem w skroń, aby go dobić, pistolet się zaciął.

Ktoś, kto pojawił się tuż za płotem, już ich zaczął niespokojnie nawoływać.

- Uciekajcie! Jadą Niemcy!

Z drugiej strony wsi zbliżał się niemiecki patrol na motocyklu. Banderowcy pobiegli po

chwili do sadu, przez płot czmychnęli chyłkiem na pole, dali susa w zboże i wkrótce zniknęli jak duchy za mroczną ścianą pobliskiego lasu. Dziadek nieprzytomny leżał przed gankiem. Babcia, która wybiegła w chwilę po strzale, słyszała nawołujących się uciekających bandytów.

- Tyle krwi stracił, że chyba nie przeżyje – pomyślała. Nieprzytomny z bólu, ogłuszony wystrzałem, konwulsyjnie kopał nogami i rękami, rozgarniał ziemię przed sobą. Gdy przestał kopać i znieruchomiał, pomyślała, że umarł. Wtedy zobaczyła, że w dłoni ściska garść ziemi, w której tkwił wystrzelony przed chwilą pocisk.

- Musiał wykopać ten sam pocisk, który wystrzelił w niego zabójca – pomyślała. Na podwórze podjechał dwuosobowy patrol w niemieckich mundurach na motocyklu uzbrojonym w rkm.

- Bandyci pobiegli tam! – zawołała, wskazując na las. Jeden z żołnierzy obejrzał głowę rannego. Pokazał, że dziadek ma przestrzelony tylko policzek i widząc jej bezradność oraz zdenerwowanie, dał babci podręczny opatrunek. Gdy obmyła mu głowę zimną wodą, otworzył oczy. Dziadek zdziwił się, że zamiast dwóch banderowców widzi przed sobą dwóch Niemców.

- To aż tak ze mną źle? – pomyślał. – Jak nie jedne hady,(gady) to zaraz drugie na mnie nachodzą. To już koniec świata albo jeszcze gorzej.

Okazało się wkrótce, że pocisk przestrzelił mu tylko policzek, nie czyniąc więcej szkody. Toteż, jakkolwiek sporo czasu się męczył, gorączkował i rana ropiała, dziadek jakoś przeżył. Do końca życia nosił na policzku bliznę, która czasami prowokowała, zwłaszcza dzieci, do zadawania mu pytania, po którym musiał wielokrotnie opowiadać tę historię.

Babcia do końca jego życia przechowywała w domu ten pocisk w pudełku na ozdoby. Zabrała go ze sobą, gdy jak tysiące innych uciekinierów, wygnańców i przymusowych repatriantów, wyjeżdżali z Kresów Wschodnich na zachód, na ziemie – nad Odrą – jak mówili.

Gdy dziadek umarł w roku 1956 w swoim nowym domu pod starym lasem, w innej Dąbrowie niż ta, w której się urodził, dali mu tę kulę do trumny. Z tą kulą spoczął na cmentarzu w Krośnicach. Tak banderowska kula, niczym symbol przeznaczenia, powędrowała z dziadkiem z Wołynia na Dolny Śląsk i spoczęła w ziemi razem z nim w Dolinie Baryczy, tysiąc kilometrów od jego ojczyzny.

Nie mógł tak, jakby tego chciał, spocząć, jak jego przodkowie, na wieki w swojej ojcowiznie, gdyż ją stracił, i do końca życia nie odzyskał. Jednak i tak znalazł się w lepszej sytuacji od setek tysięcy tych, którzy stracili w tamtym czasie i ojcowiznę i życie.

## Wołyńska Atlantyda

Kiedy po 65 latach od ucieczki z ojcowizny jedzie z Sergijem na poszukiwanie miejsc, gdzie była jego rodzinna Kamienna Góra, w której się urodził, przychodzi Alfowi do głowy myśl – Oto Wołyńska Mała Atlantyda.

Ten teren, po którym chodzimy, to istna wyspa śmierci w trójkącie słynnych miast, Dubna, Ostroga i Krzemieńca.

Dziś oficjalnie nazywa się tę część Wołynia **Dermańsko Mostowski Park Krajobrazowy**. Na terenie, gdzie się obecnie rozpościera ten park krajobrazowy, istniały jeszcze w pierwszym kwartale roku 1943 polskie wsie – Balarnia, Hurby, Demidówka, Hucisko Piaseczne, Hucisko Garncarskie, Antonowieckie, Horodyskie, Janowe, Pikulskie, Stożeckie Hucisko, Huta Stara, Kamienna Góra, Kiryłówka, Litowiszcz, Lubomirka, Majdańska Huta, Marynki, Piaseczna, Świnodebra, Zielony Dąb. Dziś po tych wsiach nie ma śladu. Jakby uderzyła bomba o wielkim zasięgu i zniszczyła wokoło wszystko, co polskie.

Nie ma też śladu upamiętniającego ich istnienie, ani tragiczną śmierć ich polskich mieszkańców. Zostały tylko otaczające je wsie ukraińskie, jak Dermań, gdzie urodził się znany pisarz Ułas Samczuk i dalej Buszcza, Piwcz, Buderaż, Moszczanica, Stupno, Iłowica czy Majdan. Nieliczne ślady, które pozostały, zasypał piasek czasu, albo zatarto je rękami ludzi. Nawet ślady w pamięci coraz bardziej z czasem się zacierają. Dla miejscowych mieszkańców te ślady zapadają w niepamięć także dlatego, że są to ślady zbrodni dokonanych na Polakach, nierzadko przez ich sąsiadów i znajomych, a czasem przez krewnych.

Dzieci z tych stron, które czasami biegają po tamtych pustych miejscach, myślą, że miejsca te zawsze były bezludne i wyglądały tak samo jak dziś, także sto lat temu, i nikt ich nie wyprowadza z błędu.

W roku 2000 pośrodku pobliskiej wsi ukraińskiej stanął pomnik z napisem – Chwała bohaterom UPA.

Kłym Sawur, Kłym Sawur – powtarzał jak zaklęcie, jak imię tatarskiego okrutnika. Roman Klaczkiwskij brzmi bardziej cywilizowanie.

- Pani doktor Lucyna Kulińska z Krakowa napisała niedawno w swojej rozprawie o tym, dlaczego Polacy tak mało wiedzą o ostatnich zbrodniach OUN i UPA na Kresach.

- Tam bowiem ginęli przede wszystkim prości chłopcy, za których dziś nie ma się kto upomnieć. Nie tak, jak o oficerów z Katynia.

Wielka Atlantyda Kresów, to dwa tysiące polskich wsi, utopionych we krwi miliona Polaków – pomyślał.

- To była tak zwana akcja oczyszczalna, w której strilecy (strzelcy) i ich pomocnicy oczyszczali teren z takich jak ja, czyli z Lachów. Chaty płonęły przez kilka dni, zanim nie spłonęły wszystkie.

Chodził po uroczysku, mijał reszki studni, kawałki piaskowca po fundamentach budynków, miejscami spotykał zdziczałe drzewa owocowe, z których zjadał słodkie, o dziwo, jabłka.

- Lepsze jabłka niezgody, niż gruszki kłamstwa – myślał.

I przypominał sobie opowiedziane mu przez ponad pół wieku historie, które w końcu musiał opisać.